

KRYSTYNA



Janda

Cierpię, gdy się kłócę

Tego jeszcze w historii motoryzacji w Polsce nie było.

Auto doczekało się oficjalnego wyniesienia do najwyższych godności w świecie sztuki. Stało obok filmu, by razem zaprezentować się publiczności. Premiery Renault Mégane i „Pestki”

– reżyserskiego debiutu Krystyny Jandy – odbyły się wspólnie.

Samochód wszedł na filmowe salony, a znana aktorka w świat motoryzacji.

Podziwiam Pani wytrwałość w pokonywaniu odległości. Kiedy policyłem kilometry przejeżdżane przez Panią każdego miesiąca wyszła mi jakaś astronomiczna liczba.

– Mnie to nie martwi. To czas mojej samotności. Czas dla mnie. Spędzam w samochodzie trzy, cztery godziny dziennie.

Teraz w nowym samochodzie Renault Mégane.

– Mój poprzedni samochód – Toyota miał co prawda trochę „podkręcony” silnik, ale w tym mam większe poczucie bezpieczeństwa; ma specjalne pasy, poduszki powietrzne i po raz pierwszy mam ABS. To duża różnica! Poza tym jest w tym aucie wspaniałe radio i głośniki o niesamowitej jakości dźwięku. W samochodzie pracuję, uczę się i stucham. Poza tym wszystkiego dowiaduję się z radia. Tylko wtedy mam czas na wiadomości.

Czy Milanówek, choć to taki kawał drogi, wybrała Pani świadomie?

– Tak, bo tu jest dobrze moim dzieciom. Zawsze chciałam uratować stary dom. Naszemu domowi przedłużyliśmy życie, początkowo był dla nas za duży, ale gdy zamieszkali z nami moi rodzice, jest w sam raz.

Ale odgradziła się Pani od świata wysokim murem. Czy w ten sposób postanowiła Pani bronić swojej prywatności? Czy denerwowali Panią ludzie zaglądający w okna?

– Zaglądali w okna? Żeby tylko to! Brali koszyki z jedzeniem, siadali z dziećmi na ławeczkach tyłem do ulicy, a przodem do mojego domu, jedli śniadanie, a dzieci bawiły się na trawniku. Całymi dniami patrzyli jak żyję. Zamiast w telewizor patrzyli na mnie. Nie mogłam wyjść w kostiumie kąpielowym. Traktuję ogród jak przedłużenie domu, żyjemy w ogrodzie całe lato. Rodzice się denerwowali, szczególnie gdy byłam w ciąży.

Niedaleko Pani domu jest wypożyczalnia kaset wideo. Mówią, że wypożycza tam Pani głównie filmy amerykańskie.

– Nie tylko. Proszę by odkładano mi filmy, których nie zdążyłam obejrzeć. Czasami dostają takie, które „nie chodzą” w wypożyczalniach. Te sprowadzane są na moje specjalne zamówienie.

Czy ma Pani jeszcze czas na wideo?

– To mój obowiązek.

Nie męczy Pani atak nowych obrazów?



– Nie, to mój zawód. Muszę być na bieżąco. Gdy miałam ochotę zrobić film, to moim obowiązkiem było zobaczyć wszystkie filmy, które w tym gatunku były sztandarowymi tytułami. Przed „Pestką” obejrzałam wszystkie filmy o miłości, które powstały w polskim kinie.

A co sądzi Pani o miłości w polskim kinie?

– Filmy z lat 60. i 70. były robione zamiast. Zamiast tego, co wszystkich interesowało. Ale i w filmach o miłości było zawsze jeszcze coś, reżyser przemyślał coś ważnego. Oglądałam je ze wzruszeniem. Na przykład wielkie wrażenie zrobiło na mnie „Salto” Kawalerowicza i „Pociąg” Konwickiego. Pięknie grane. Skromnie i pięknie. Dlatego w „Pestce” jest wiele ukłonów w stronę tamtego kina.

Jak pokazywać miłość w kinie. Czy iść w kierunku erotyzmu, czy romantyzmu?

– Nie ma prostej recepty. Wszystko zależy od koncepcji. Uważałam, że do opowiadania mojej historii trzeba było podejść jak najskromniej. Mówi o dorosłych ludziach, dlatego nie ma co opisywać jak to jest, gdy się ktoś zakocha, tylko jakie mogą być tego konsekwencje. A tak na marginesie, statystyki w gazetach mówią, że 45% Polaków nigdy się nie zakochało. To przerażające.

Papież w Warszawie na placu Zwycięstwa powiedział, że skończyła się cywilizacja śmierci, a zaczęła cywilizacja miłości. Jakie zna Pani odcienie miłości.

– Bardzo wiele. Przede wszystkim jestem matką trójki dzieci. To zdominowało moje życie. Dzieje się tak często, gdy kobieta rodzi dziecko – tak jak ja – mając 38 lat. To jest dopiero miłość. Jakby odkrycie zupełnie nowych terenów.

Czy potrafiłaby Pani kochać człowieka, nie lubiąc go?

– W „Urodzie” napisałam felieton o moim ojcu, który niedawno umarł. Nie mogę powiedzieć bym go bardzo lubiła, a kochałam go strasznie.

Czy dzieli Pani świat na świat mężczyzn i kobiet?

– Nie. Na pewno są różnice, lecz musi to być partnerski układ.

Czy chciałaby Pani, by światem rządziły kobiety?

– Nie, w żadnym wypadku.

Boi się Pani, że musiałyby zająć się na przykład polityką.

– Może nie powinnam się do tego przyznawać, ale tak właśnie jest – gdy mój mąż wyjeżdża na pół roku, to mnie się wydaje, że tonę w jakiejś czarnej dziurze, że tracę szerszą perspektywę. Świat nagle zawęża się i nie potrafię powiedzieć na czym to polega. Myślę, że rozmowy, które prowadzimy są dla mnie bardzo ważne. Konfrontacja punktów widzenia mężczyzny i kobiety, sprawia że lepiej rozumiem to, co przeczytałam w gazecie, co zobaczyłam w kinie i teatrze. To, że mąż ma inne zdanie tylko pomaga. Po śmierci Zygmunta Hibernera prosiłam panią Dubrawską o wywiad, powiedziała w nim wtedy jedną z najważniejszych rzeczy, że po śmierci męża, z którym była tyle lat, najbardziej brak jej możliwości skonfrontowania z nim swojego odczytania świata.

A jaki jest Pani świat. I czy chętnie się Pani w nim zamyka?

– Staram się, gdy już mam wszystkiego dość, zamykam się we własnym świecie, za bramą mojego domu.

A przyjaciele, znajomi?

– Niewiele mam czasu na znajomych. Ale bardzo lubię ich gościć u siebie w Milanówku.

Czy nie wydaje się Pani, że we współczesnym świecie coraz trudniej jest wychować dobrego człowieka?

– Nieprawda, wszystko zależy od tego jaki stworzy się dom. Dziecko tak naprawdę wychowuje się przez obserwację. Przez to co podpatrzy, czego nauczy się od najbliższych.

Myśli Pani, że można stworzyć enklawę.

– Tak myślę. Szczególnie, że moją córkę Marysię wychowywała gosposia. Była jedną z osób, które najbardziej mnie kochały i była moją przyjaciółką. Prosta kobieta ze wsi, która gdy do nas zawiatała nie знаła się na zegarku ani nie umiała czytać, a była – proszę mi wierzyć – jedną z najinteligentniejszych osób, jakie znałam. To, jaki wpływ wywarła na nasze życie jest jedną z fundamentalnych rzeczy. Nie wiem, czy od kogokolwiek nauczyłam się tyle, co od pani Honoraty. Zgody na świat, zgody na to co się dzieje dookoła, spojrzenia na otaczającą rzeczywistość. Takiej cudownej, wewnętrznej, własnej logiki, harmonii. Ona regulowała nasze życie przez wiele lat, a nawet teraz, chociaż już nie żyje, nadal jest. To co zostawiła ciągle jest nam potrzebne.

Czy dzieci wychowywane przez nianię i dziadków nie mają Pani za mało?

– Na razie nie. Poza tym stworzyliśmy rodzinę trzypokoleniową. Siostra przyjeżdża na każdy weekend ze swoją, dorosłą już córką. Jest wiele dorosłych osób, które mają dla nich czas.

Ale to jest życie pod prąd tego nurtu, który obowiązuje w zachodnim świecie.

– Mam w Niemczech wiele przyjaciółek, które mieszkają ze swoimi mężczyznami od kilkunastu lat w tym samym domu, w dwóch osobnych mieszkaniach. Nie mogą sobie jednak wyobrazić mieszkania razem, bo to ograniczyłoby ich wolność, zabiłoby miłość. Ja mam inną potrzebę. Wychowywałam się u dziadków w wielopokoleniowej rodzinie.

Jaka jest wartość takiego wychowania? Czy ono jest lepsze?

– Ja tego nie wartościuję. Kiedy się pokłócę z kimkolwiek potwornie cierpię. Dążę wtedy do pogodzenia się, nawet kosztem pochylecia głowy, przeproszenia, również wtedy gdy uważam, że miałam rację. Harmonia jest mi potrzebna do życia jak powietrze. Nie ma dookoła mnie ludzi, z którymi się gniewam. Chyba eliminuję ich w jakiś naturalny sposób. To sposób kontaktowania się z ludźmi. Szalenie bezpośredni. Ja właściwie nie pamiętam, bym z ludźmi, z którymi kręcę film, nie przekroczyła takiej zawodowej granicy. Przekraczam ją w kierunku przyjaźni.

Lecz świat jest inny.

– Dlatego uważam, że działanie w sztuce to wielka odpowiedzialność. Uważam, że we wszystkim, co się robi, powinien być pierwiastek humanistyczny.

Czy polska sztuka spełnia tę rolę?

– Myślę, że można artystów podzielić na dwie kategorie – jedni uważają, że są awangardą intelektualną i nie zastanawiają się czy ludzie coś z tego rozumieją, drudzy – starają się pracować dla widzów, nie uważają się za wyjątkowych.

Czy świadomie kreuje Pani swój obraz na zewnątrz?

– Tak. To jest obowiązek osoby publicznej.

Czy samochody też są elementami kreacji, czy traktuje je Pani jak sukienki?

– Dotychczas gdy ktoś mnie pytał, jaki masz samochód, odpowiadałam że czerwony. Teraz od „Pestki” mówię, że mam Renault Mégane. Czulałam się dumna, że panowie z Renault wybrali „Pestkę” i połączyli ją z Mégane.

Pani spieszy się bezustannie. Jak w tym pędzie odnaleźć sens i optymizm?

– Proszę pamiętać, że minione 20 lat to sukces. To pozwala mi patrzeć optymistycznie na życie. Mam męża, rodzinę. Dzięki nim mogę mieć dystans do świata. Mój ojciec nigdy nie był na żadnym moim przedstawieniu. Mama oglądając mnie często zasypia przed telewizorem. Kiedy pytałam ją, jak wypadłam, mówi zakłopotana: – Wiesza, takie jakieś nudne, więc zasnąłam. To sprawia, że postrzegam wszystko we właściwych proporcjach. ■

Rozmawiali: **WOJCIECH FUSEK I WŁODZIMIERZ ZIENTARSKI**

Zdjęcia: **ANDRZEJ IWANCUK**